

JANUSZ „KRAWIEC” WIŚNIEWSKI

FRAK W PIERWSZYM POKOLENIU



Janusz „Krawiec” Wiśniewski

FRAK W PIERWSZYM POKOLENIU

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-03-6

Copyright © Janusz „Krawiec” Wiśniewski

Projekt okładki: Sławomir Kitowski

Wszelkie podobieństwa do osób i sytuacji są przypadkowe i stanowią fikcję literacką, którą mógł wymyślić tylko piszący krawiec

„Frak w pierwszym pokoleniu” to kolejna książka Janusza „Krawca” Wiśniewskiego – krawca, który pisze. Książka wprowadza nas w lata dziewięćdziesiąte, w lata końca okresu komuny i w początek gospodarczych i demokratycznych przemian w Polsce. Powstaje wolny rynek, mnożą się fortuny. Wiśniewski szyje fraki nowobogackim, obserwując przy okazji przez szerokie wystawowe okno swojej pracowni zachodzące w kraju i w ludziach przemiany. Być Kimś! Mieć! Wzbogacić się! – nawet kosztem bliźnich – to domena lat dziewięćdziesiątych i cel nie tylko naszego głównego bohatera.

We „Fraku” Wiśniewski życia Skiby nie owija w bawełnę. Bez znieczulenia obnaża zadawanie się w miejskim społeczeństwie człowieka ze wsi, pokazując jego drogę społecznego awansu. Wiśniewski snuje swoją opowieść bez pardonu, może i dlatego, że fraki szyl tylko innym. On sam, krawiec rzemieślnik, nigdy we fraku nie chodził. Seksualne poczynania bohatera dzisiaj może szokują, może gorszą – ale w tamtej dekadzie przemian ustrojowo-społeczno-gospodarczych były obecne nagminnie.

Warto przymierzyć się do uszytego przez Janusza „Krawca” Wiśniewskiego Fraka w pierwszym pokoleniu. Wszystko to działo się tak blisko nas...

Do wojska wzięli go z kieleckiego zadupia. Mając ukończone dwadzieścia trzy lata i przysposobienie rolnicze poświadczone odpowiednim świadectwem, znalazł się w koszarach lądowej jednostki marynarki wojennej. Zaraz po przysiędze, jego kompanii wartowniczej przydzielono obsługę Sztabu Generalnego Marynarki Wojennej w Gdyni. Okazały budynek sztabu mieścił się w centrum miasta, przy pięknym Skwerze Kościuszki, po którym spacerowali mieszkańcy nie tylko Gdyni, kierując swoje kroki ku morzu i zacumowanym u jego nabrzeży okrętom i jachtom.

W koszarach dostawał w dupę, ale i krzepł, męźniał, kształtował swój charakter, próbując nabierać przy okazji miejskich manier. Trzymając często wartę u progu reprezentacyjnego wejścia do gmachu sztabu, wchłaniał całym sobą miejskie – jego zdaniem niesamowicie fascynujące życie. Obserwował z zaciekawieniem podjeżdżających do sztabu oficerów, przyglądał się spacerującym latem po Skwerze Kościuszki przechodniom. Szczególnie kobietom, którym pożądliwie zaglądał w dekolty i wślizgiwał się oczami pod króciutkie sukieneczki falujące wokół ud. Potem, w nocy, na wojskowej pryczy przywoływał je z pamięci i...

Tak, urzekała go atmosfera miasta. Zachłystywał się nią i stojąc na warcie przyrzekał, przyrzekał sobie, że do swojej rodzinnej wsi więcej nie powróci. I stało się, niespodziewanie dla niego samego los spróbował mu w tym pomóc.

– Który jest po służbie?! – wraz z tubalnym głosem, właśnie na nim spoczęły oczy dowódcy kompanii wartowniczej – Skiba?!

– Tak jest! Oby...telu bosmanie!

– Skiba. Zgłosicie się do gabinetu szefa sztabu, pierwsze piętro, pokój 113.

Jasne?!

– Tak jest! Ob...

– W mundurze wyjściowym, macie na to piętnaście minut!

– Tak...

– Odmaszerować!

Po dziesięciu minutach żołnierz Władysław Skiba stał w pozycji na baczność, ubrany w wyjściowy mundur, trzymając w zgiętej lewej ręce czapkę na wysokości powyżej talii.

– To... jak się nazywacie marynarzu?

– Władysław Skiba! Oby...telu... – nie był pewien stopnia przełożonego, ale w końcu, prężąc się ponad miarę, wykrztusił: Oby...telu komandorze!

– Znacie marynarzu miasto? Znacie Gdynię?

– Tak jest! Byłem wielokrotnie na przepustce! Poznałem miasto całościowo! – wykrzykiwał Skiba już bardziej pewnie.

Tak też było. Władysław Skiba przez mijające miesiące służby poznawał miasto jak sam często powtarzał dogłębnie – według wcześniej opracowanego przez siebie w wolnych chwilach planu. Na wojskowej mapie Gdyni zaznaczał szlaki, którymi zamierzał się poruszać przy okazji przepustek. Czerwonym kolorem oznaczał te, które poznał i zapamiętał już wcześniej, a na zielono znać te, które miał w planie poznać z drobnymi nawet szczegółami jak najszybciej. Robił to z pasją zrzuconego do miasta agenta obcego wywiadu. Fascynowało go to miasto. Znał na pamięć nazwy ulic, instytucji, banków, kościołów, kin, a nawet specjalistycznych sklepów. Teraz, stojąc przed szefem sztabu nie kłamał powtarzając:

– Tak jest, oby...telu komandorze! Gdynię znam dogłębnie, wiem gdzie jest ulica Ślaska!

– Marynarzu, pójdziecie pod wskazany adres i odbierzecie od krawca mój mundur. Tu macie adres.

– Tak jest! Odebrać mundur!

– Krawcowi powiecie, że ureguluję, jak przyjdę do przymiarki garnituru. – Albo nie, macie tu... Zapytacie, kto mundur odświeżał, i dacie to temu czeladnikowi, rozumiecie?

– Tak jest! Dam temu, który go odświeżał! – naprężony jak struny w kontrabasie Skiba, pokrzykiwał po wojskowemu, chowając do kieszeni munduru banknot.

– Aha, zapytajcie też krawca, kiedy mam przyjść do przymiarki garnituru.

– Tak jest! Do przymiarki garnituru!

Zakład krawiecki mieścił się w zachodniej części miasta. Wystarczyło wyjść ze Skweru Kościuszki, przejść kawałek ulicą Świętojańską, skręcić w prawo obok stacji pogotowia, wejść pod tunel, nad którym pędziły co chwila w obie strony pociągi dalekobieżne i szybka kolej miejska, i już było się na ulicy Śląskiej. Tę drogę wytoczył sobie żołnierz Skiba, prowadziła najszybciej do celu. Marsz ze sztabu pod zakład krawiecki zajął mu dokładnie trzynaście minut.

Stał teraz przed witryną tego zakładu, poprawiając sobie w jej odbiciu dobrze leżący na nim marynarski mundur. Kciukiem zepchnął na tył głowy marynarską czapkę – był to gest, który podpatrzył u starszych marynarzy, gdy oni chcieli dodać sobie animuszu. Jeszcze chwilę przyglądał się zgrabnej, młodzieńczej żołnierskiej sylwetce. Był zadowolony – w witrynowej szybie nie uwidoczniły się ślady po wyciśniętych z rana na twarzy pryszczach. W końcu przeniknął wzrokiem grube, wystawowe szkło witryny. W głębi, obok ułożonego kuponu czarnego materiału w widoczne jasne, prawie białe prążki, leżał rozłożony żurnal, z którego uśmiechał się zabójczo przystojny mężczyzna. Model miał na sobie garnitur uszyty z materiału kubek w kubek podobnego do tego, który prezentował się na wystawie. Obok – szyld:

*Zakład Krawiecki damsko – męski Kat. I
Tadeusz Centkiewicz Mistrz Krawiecki.*

Władysławem Skibą, marynarzem z kompanii wartowniczej zabezpieczającej Sztab Generalny Marynarki Wojennej w Gdyni, miotał lekki niepokój już w momencie, gdy naciskał klamkę drzwi, przez które wszedł do środka. Wchodząc, od razu poczuł zapach, którego dotąd nie doświadczył, nie znał – mieszanina prasowanego lnianego płótna, prasowanych wyjętych z naftalinowych szaf starych garniturów, zapach przegrzanych żelazek i, zapach ludzkiego potu – wszystko to mieszało się i łączyło w zapach pracowni krawieckiej, który teraz uderzał w jego nozdrza tak raptownie, intensywnie – niczym na dworcu para z ruszającego parowozu, wiozącego go z Kielc do Gdyni. Władysław z zaciekawieniem zaczął rozglądać się po wnętrzu:

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI